

Jan ROKITA: Pucz imitowany

Polska jest nam dobrze znana, jako kraina niezwykłych politycznych eksperymentów, od XVII-XVIII wieku, gdy z uporem broniła u siebie republikańskiego ustroju wolności, na przekór powestfalskiej Europie, przekształcającej się w dominium monarchów absolutnych, aż po XX-wieczną „Solidarność”, czyli unikalny, bo udany eksperyment pokojowej insurekcji przeciw sowieckiemu imperium. To, co się w Polsce zdarzyło dokładnie 40 lat temu – 13 grudnia 1981 roku – miało na celu stłumienie owego „solidarnościowego” eksperymentu. Ale samo w sobie stanowiło również eksperyment, tyle że przeprowadzony przez polskich komunistów, no i – jak się miało okazać – dość mało fortunny.

Po tym, jak sowieckie Biuro Polityczne odmówiło polskim komunistom „sojuszniczej” zbrojnej interwencji, stanęli oni w obliczu wyzwania samodzielnego stłumienia pokojowej insurekcji dziesięciu milionów członków „Solidarności”. Jako innowacyjną metodę tej operacji wymyślili... pucz wojskowy, najwyraźniej zauroczeni licznymi udanymi przewrotami pułkowników w Afryce i Ameryce Łacińskiej. W systemie sowieckim armia była zawsze narzędziem partii; innowacja polskich komunistów polegała na tym, iż teraz miało się stać odwrotnie. Ten dziwny projekt polityczny miał przejść do historii Europy jako ostatni pomysł na ratowanie gnijącego komunizmu, chociaż był uwikłany w niezbywalny paradoks. Polscy komuniści, sami trzymając cały czas pełnię władzy, nie mieli bowiem przeciw komu zrobić autentycznego zamachu stanu. Logicznie rzecz biorąc, musieliby go zrobić przeciw sobie samym. Dlatego wymyślili innowacyjny scenariusz puczu imitowanego.

Już wcześniej zatem, w ramach przygotowań do puczu, usunięto cywilnego pierwszego sekretarza, stawiając na czele partii komunistycznej dowódcę armii – gen. Jaruzelskiego. Kiedy w nocy 13 grudnia pucz się rozpoczął, szef partii, a zarazem przywódca „zamachowców” kazał się przebrać grupie swoich akolitów w mundury, po czym klasycznym wzorem porządnych puczów z Afryki czy Ameryki Łacińskiej – ogłoszono ich nazwiska jako juntę wojskową, która odtąd będzie trzymać pełnię władzy. Podobna maskarada odbyła się w kontrolowanej przez partię telewizji. Tam spikerów w nocy ubrano w mundury oficerskie i od wczesnego rana, już jako „puczyści”, ogłaszali oni zarządzenie stanu wojennego, odczytując długą listę czynów (od strajku po kolportaż ulotek), za które odtąd miała grozić kara śmierci, wydana oczywiście w trybie doraźnym przez sąd wojskowy. Jak w prawdziwym puczu, wyprowadzono na ulice miast czołgi, ale nie po to, by zdobywały gmachy rządu czy telewizji, lecz by koncertowały się wokół kopalń, stoczni i hut, gdzie „Solidarność” proklamowała strajk.

O ile bowiem w centrum władzy pucz wyglądał niczym groteskowa maskarada przebierańców, to wobec społeczeństwa objawił się najzupełniej realną i długotrwałą falą przemocy. Kogo tylko policji politycznej udało się wylapać tamtej nocy spośród tysięcy działaczy „Solidarności” – tego bez wyroku aresztowano na podstawie wcześniej przygotowanych list proskrypcyjnych. Strajkujące fabryki zdobywano siłą, czasem (jak na Śląsku) strzelając do robotników z ostrej amunicji, niczym w Chicago 1 maja 1886 roku. Niższej rangi oficerów komunistycznej armii rozesłano po kraju jako „komisarzy-puczystów”, przejmujących władzę nad urządami państwowymi i firmami. To ostatnie zwłaszcza okazało się na dłuższą metę katastrofą: majorowie i porucznicy postawieni w roli faktycznych szefów firm w krótkim czasie doprowadzili polską gospodarkę, i tak już będącą w kryzysie, do całkowitej ruiny.

Dla Polaków owe osiem lat, które rozpoczął imitowany pucz 13 grudnia – to najczarniejszy czas w ciągu życia poprzedniego pokolenia. Nie tylko czas przemocy, pełnych więzień i skrytobójczych mordów, ale także degradacji jakości życia i ruiny ekonomicznej. Jednak patrząc dzisiaj na tamtą historię z perspektywy Hegłowskiej „sowy Minerwy wylatującej o zmierzchu”, można dostrzec zdumiewający efekt (o paradoksie!), korzystny tak dla Europy, jak i dla Polski. Tamten pucz zahamował bowiem na osiem lat decydującą rozgrywkę „Solidarności” z systemem sowieckim, przesuując tym samym jej rozstrzygnięcie do innej, nieporównanie bardziej przyjaznej epoki, rozpoczętej rządami Gorbaczowa. Historycznym przekleństwem Polaków przez cały wiek XIX i więcej niż połowę XX było właśnie to, iż nad ich kolejnymi zrywami wolnościowymi, od roku 1830 aż po 1970, zawsze wisiało fatum „złego czasu”. Ale u końca XX wieku Fortuna wykonała jakiś wielki obrót swoim kołem i Polacy nagle znaleźli się w czasie historycznym najważniejszym dla ich dążeń.

We „właściwym” momencie powstała „Solidarność” i w najzupełniej „właściwej” chwili przegrała pierwsze starcie z komunistami. Gnijący globalny komunizm potrzebował bowiem, dla przyspieszenia swego zgonu, takiej legendy spontanicznie ludowego ruchu, prześladowanego za swe marzenie o sprawiedliwym świecie. Przesunięcie momentu definitywnej rozprawy Polaków z systemem sowieckim aż do roku 1989 sprawiło, że polskie dążenia nie tylko mogły przybrać szczęśliwy obrót, ale stały się nieoczekiwane dążeniami całej Europy. Upadek Muru Berlińskiego i odbudowa jedności Europy okazały się nadspodziewanymi skutkami owego przesunięcia. Komunistyczni „puczyści” z nocy 13 grudnia przegrali, gdyż nie było im dane pojąć sensu dziejowego spektaklu, w którym wzięli udział w roli śmiesznych mundurowych przebierańców. Ale też patriotom polskim, stawianym przed sądami doraźnymi i ciąganym do więzień, nie mogło się wówczas przyśnić,

jak szybko i jak wymiennie ich ofiara nabierze historycznego sensu. I to sensu daleko wykraczającego poza li tylko polskie marzenie o wolności.

Jan Rokita